Nr. 33. Rok III. Nr. 33.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 16 sierpnia 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

Rozboje w Bośni.

Miasto roztrząsania kwestji czasowéj pragniemy dać dzisiaj czytelnikom naszym mały obrazek, przypominający żywo jaskrawe sceny z czasów gminoruchów, wznawiający prawo pięści pośród cywilizacji XIX wieku, o któréj setki tomów napisano.

Turcy wyrzynają literalnie bośniackich Sławian!

Łaskawy czytelniku, czy czytałeś gdzie o tém? Czy słyszałeś choć jeden głos oburzenia lub skargi?

Gdy Anglika lub Niemca spotka najmniejsza krzywda, agenci dyplomatyczni wymieniają noty, prowadzą procesa i sprawiedliwości staje się zadość

Gdy na bruku Jass, Lwowa lub Odessy gawiedź uliczna poturbuje kilku żydów, mszcząc się zdzierstw doznanych, rozczulone dziennikarstwo roni łzy boleści i wzywa pomsty rządu.

Gdy zwierzchność szkólna zmusza niedorosłego kandydata bezwyznaniowości do słuchania wykładu religji, toż samo dziennikarstwo ujada na temat wolności sumienia i gwałtu dokonanego na osobie młokosa.

Gdy jednak na półwyspie bałkańskim drą Sławian ze skóry, gdy na pograniczu arcy-chrześcijańskiéj Austrji urzędnicy tureccy najeżdżają wsie i miasteczka sławiańskie, wycinają w pień całe rodziny i grabią dobytek — gdy tłumy przerażonych Bośniaków emigrują przez austrjacką granicę, toż samo dziennikarstwo milczy upornie a nikczemna tradycyjnie dyplomacja wzrusza ramionami, wskazując złodziejskim swoim palcem paragraf Huiga de Groot, dotyczący prawa nieinterwencji. Cicho więc, bo jęki boleści z pod Bałkanu nie przechodzą granicy; spokojnie tedy, z wygódkami mogą protegowani przez dyplomację i dziennikarstwo Turcy wznawiać u siebie czasy Bajazeta.

Prześladowanie chrześcijańskich Sławian w Turcji ujęte zostało w pewien system, którego wykonaniem zajmują się naczelnicy powiatów a nawet walowie (gubernatorowie prowincji). Wiedząc nadto dobrze, że nie ma już dziś ludzi, którychby opowieścią rozczulić można, podamy tylko nagie fakta, jakie w ostatnich czasach miały miejsce w Bośni, tuż nad granicą austrjacką — podamy je tém chętniéj, iż dzienniki nasze, z wyjątkiem „Gazety Toruńskiéj“, tak bardzo są zajęte podróżą Nasr-ed-dina i tak wiele mają do przedrukowywania dokumentów w sprawie fregaty Vigilante, iż nie mają czasu na zajęcie się sprawą współplemieńców, katowanych nad brzegami Sawy.

To, co się tam dzieje, jest niemal bajeczném a jednak prawdziwém. Każden pożar, każde kryminalne przestępstwo, każda wina Turka składa się z urzędu na chrześcijanina, a za tego odpowiada wieś cała lub miasto solidarnie. Jeżeli po-

zoru nawet nie ma do łupieży, znosi się urzędnik turecki tajemnie z bandą rozbójników i wysyła ją w tę lub ową stronę.

Fejim-Effendi, niegdyś rozbójnik a dziś naczelnik powiatu w Banialuce, rozporządza właśnie jedną z takich silnych band opryszków, którzy grasując na jego rozkaz dokoła, napadli również na bośniacką Gradiskę. Mieszkańcy tego nadgranicznego miasta, śmielsi od innych, zanieśli skargę do gubernatora w Serajewie, Mustafy-Asim-Paszy, a gdy ta została bez skutku, udali się wprost do Carogrodu, wyjawiając wszystkie łotrostwa Fejima-Effendego i prosząc o pomoc.

Z rozkazu rządu zjechał Kajmakan na miejsce a zaaresztowawszy miasto śledztwa przedniejszych Gradiszczan, oświadczył im wręcz, że jeżeli nie odwołają skargi na Fejima, każe ich wszystkich posiekać w kawały i nikomu z tego usprawiedliwiać się nie będzie.

Głośne to oświadczenie było hasłem ruchu dla Turków z Banialuki, którzy przy pomocy opryszków napadli w nocy Gradiskę i wszczęli rzeź straszną. Kto zdołał, ratował się ucieczką w lasy lub przez nurty Sawy do Austrji. Pierwszych odszukano i wycięto, drugich starają się teraz skłonić do powrotu. Próżne są jednak namowy austrjackiego konsula w Serajewie Teodorowicza i gubernatora Bosnii Mustafy-Asim-Paszy. Sławianie wiedząc, iż ich od zemsty Turków nic nie uchroni, wiedząc, iż jako Sławianie wyjęci są z pod opieki dyplomacji i prawa, o powrocie ani myślą. Wiedząc, iż zrabowane ich mienie do reszty zabrane i opryszkom w nagrodę oddane zostanie, pragną ocalić życie, by przy sposobności podnieść miecz zemsty i odwetu.

Fakta te są wymowniejsze niż wszelkie utyskiwania i lamenty; podajemy je w całéj nagości naszym czytelnikom — niech osądzą jak nikczemną jest dyplomacja, jak małodusznemi są europejskie rządy, jak jałowym i nieporadnym ów system konstytucjonalizmu vulgaris, o który tyle krwi przelano.

A dziennikarstwo?

W Austrji stanowi ono potęgę i wpływa silnie na decyzje ministerstwa — dziennikarskie Quos ego w Wiedniu wyrzeczone wieleby dobrego sprawić mogło. Niestety! Sławianie to nie żydzi, to nie niemieccy gründerzy ani madjarskie magnaty, — każden trup sławiański to jeden wróg mniéj dla madjarsko-niemieckiéj arogancji i buty.

Niech tedy wyrzynają i grabią Sławian w oczach przecywilizowanéj germańsko-romańskiéj Europy — Sławian jest sto miljonów, Opatrzność nie stawiła ich w rzędzie społeczeństw ludzkich bez celu — czas przyjdzie i dla nich a wówczas policzymy się.

Własność gruntowa w Rosji.

Od Tłómacza.

Dr. Adolf Wagner, profesor uniw. berlińskiego, wydał w r. 1870 rozprawę p. t. „Ueber die Abschaffung des Privaten-Grundeigenthums.“ Rozprawa ta, napisana z talentem właściwym temu uczonemu, zawiera 3 rozdziały:

1) O własności gruntowéj na kongresie socjalistów w Bazylei w r. 1869.
2) Uzasadnienie prywatnéj własności gruntowéj.
3) Własność gruntowa w Rosji.

Nie mogąc ze względu na szczupłość ram naszego pisma i jego charakter, podawać w przekładzie téj wprawdzie cennéj ale obszernéj całości, ograniczamy się na podaniu naszym Czytelnikom tylko ostatniego (IIIgo) rozdziału „O własności w Rosji“ jako przedstawiającego żywotny bardzo dla nas stósunek.

Warszawa dnia 20 czerwca 1873.

Dr. G. R.

* * *

Długi czas uważano zarówno gminę wiejską jak i stósunki rólnicze w Rosji, z pododu ich podobieństwa do staroniemieckich rólniczych urządzeń, za instytucję z obczyzny na grunt rosyjski przeniesioną, która się jednak organicznie zakorzeniła w życiu i przybrała dzisiejszą swą formę. Rosyjscy znów uczeni a w szczególności sławianofile uważali to raczéj za pra-stary objaw rosyjskiego ducha narodowego. Haxthausen podzielał tę opinję i takowa utrzymywała się aż do najnowszych czasów [1]. Ostatnie wszakże badania a zwłaszcza rosyjskiego uczonego Cziczerina [2]) wykazały zupełną bezzasadność powyższego mniemania. W następstwie tego upaść musiały wszystkie wnioski wywiedzione dla własności gminy w Rosji z zasady jéj narodowego pochodzenia, zarówno przez doktrynera takiego jak Haxthausen jak i Axakowa, Samarina, Koszeljewa i w. i. marzycieli. Łatwo pojąć, jak niemiłe były tym panom badania Cziczerina, które jednakowoż, pomimo napadów na nie Bielajewa, niewzruszonemi pozostały.

Aż do wieku XVI, powiada Cziczerin, nie spotykamy żadnych nawet śladów dzisiejszych posiadłości gminnych i podziałów ziemi, dokonywanych jak dzisiaj przez gminy. Powstanie rosyjskich posiadłości gminnych z poddaństwa i podatku od głowy daje się historycznie udowodnić. Właściciele ziemscy lub państwo dawali ziemię rólnikom jako wynagrodzenie za ich usługi. Ponieważ usługi te były osobiste a więc dla wszystkich jedne, przeto każdy musiał mieć sobie wydzielony równy kawał ziemi, a gdy z czasem ludność tak wzrosła, że dla nowych robotników zupełnie już ziemi nie stało,

[1]) Przy każdéj sposobności Haxthausen kładzie nacisk na ten narodowy charakter rosyjskiéj organizacji własności, n. p. Studien III, 125. Ländl Verfass. 12. Szczególniéj 412, 417. Eckardt 103. Studien 500. Schédo-Ferroti str. 38. Haxth. Ländl. Verf. 413. Także Helferich dał się uwieść teorjom Haxth. zob. Tüb. Zeitschr. XX, 17.

[2]) Tschitscherin, Staatswb. VI. 396, 411. Bistram, 61. Schédo-Ferroti 2. Buschen, Tüb. Zeitschr. XVII.

wówczas przy niemożliwości przesiedlania musiano dokonać nowego podziału ziemi. „Co uczyniła niewola, to zniesie wolność“, tak zakończył Cziczerin bezpośrednio przed wydaniem prawa z r. 1861 [3]).

U dawnych Rosjan jak i u Sławian i Germanów mogły być podobne urządzenia, ostatecznie jednak nie zdają się takowe mieć wiele wspólności z temi, które dziś istnieją. Haxthausen utrzymywał ciągle i zawsze, że organizacja gminy rosyjskiéj nie została dowolnie wprowadzoną w pewnéj chwili, że nie jest dziełem pewnéj władzy rozkazującéj z góry lub rządu, ale raczéj, że z życia i ducha narodu rosyjskiego wyrastała w kolei czasu powoli ale z koniecznością [4]). Za nim powtarzało to wielu sławianofilów, a tymczasem okazuje się wprost przeciwnie. Nigdzie nie spotykamy ani śladu nawet wspólności powstałéj ze swobodnego i wolnego połączenia. Aż do r. 1592 nawet w wielkich dobrach włościanie byli wolnymi i posiadali ziemię wydzieloną im w skutek obustronnéj umowy z właścicielem. Łany były w tym celu stale raz na zawsze oznaczone, a każdy z nich ze wszystkiém co do jego użytkowania należało, stanowił całość i przechodził od jednego posiadacza do drugiego. Łany te nadto, bez wszelkiego współudziału gminy, bywały dzielone, wydzierżawiane, sprzedawane lub przechodziły drogą spadku; nawet służący mogli je nabywać, ale musieli ponosić także i ciężary... W wiekach średnich w Rosji nie było ani glebæ adscriptio, ani podziału ziemi [5]). Gmina nie posiadała ani finansowéj ani administracyjnéj późniejszéj swéj kompetencji.

Ale ta wolność kmieci była uciążliwą zarówno dla państwa, które potrzebowało żołnierzy i podatków, jak i dla właścicieli, którzy potrzebowali robotników. Z tego powodu ukaz cara Fieodora Iwanowicza z r. 1592 przywiązał chłopów do roli. Urządzono księgi do ich zapisywania. Późniejsze ustawy Borysa Godunowa potwierdziły ten właściwie tylko prowizoryczny edykt i rozwinęły dalej przepisane w nim środki. W końcu przyszła powinność rólnicza, poddaństwo i organizacja gminy wiejskiéj w dzisiejszéj jéj formie z podziałem gruntów, ale to dopiéro za Piotra W., mianowicie razem z podatkiem od głowy (1718—1722) i t. z. rewizją czyli spisem ludności (1719/21). Podatek od głowy, podług liczby dusz (męzkich), wspólność roli, solidarna odpowiedzialność gminy za podatki i daniny, wyposażenie ziemią każdego członka gminy nietylko jako środek do życia ale przedewszystkiém jako podstawa do uiszczenia podatków i danin, ztąd znowu przymus dla członków gminy, ażeby wydzielone sobie kawały ziemi z należnemi do nich ciężarami obejmowali, oto są najpierwsze, wiążące się z sobą momenta organizacji gminy i wiejskich urządzeń w Rosji [6]). Nie tutaj jest miejsce do wchodzenia w szczegóły historycznego rozwoju tych stósunków. Dla nas wystarcza w téj chwili ten fakt dziejowy, iż organizacja gminy wiejskiéj i jéj własności w Rosji nie jest pra-starym wyrobem narodowego instynktu, ale po prostu wypływem prawa z w. XVII i XVIII. Ale tego nigdy nie można dość jasno udowodnić romantykom takim, jak Haxthausen, i marzycielom takim, jak socjaliści z Zachodu. Powstanie, wyrobienie się a nawet dzisiejsze istnienie własności rosyjskiéj gminy tłómaczy się przez wpływ stósunków politycznych Europy na Wschodzie, przez istniejący tamże system podatkowy i system danin gruntowych, dla których najsilniejszą rękojmię daje właśnie organizacja wsi w Rosji [7]). W skutek tego dostarcza Rosja dowodu, iż podobne rzeczy dają się zrobić siłą prawa i to może tylko sprzyjać socjalistom, nie powinni jednak przytém zapominać, w jakich warunkach dokonać się to daje, bo w takim razie nasi (niemieccy) robotnicy i nasi włościanie stracą gust i uwielbienie dla tego „pra-starego objawu sławiańskiego ducha.“

Sposób powstania instytucji rólnych, o których mowa, tłómaczy nam jasno, iż one rozciągają się tylko na Wielko-Rosją i graniczące z nią części Mało-Rosji, przytém zagnieździły się i w niektórych prowincjach zamieszkałych nie przez rosyjskie plemiona, nie przyjęły się zaś w obcych, późniéj zdobytych prowincjach dzisiejszéj Rosji.

Jak powiedzieliśmy, przedstawiają stósunki rólne w Rosji wiele podobieństwa do staro-niemieckich. Szczegóły ich jednak były różne.

Prawo z r. 1861 o uwłaszczeniu włościan nie zmieniło posiadania gmin i perjodycznego podziału gruntów. Były jednak i bardzo poważne zdania domagające się, aby z powodu związku pomiędzy poddaństwem a posiadaniem gmin ze zniesieniem pierwszego zniesiono także i ostatni. Ale dzięki marzycielstwu idealistów i konserwatyzmowi w duchu Haxthausena nie utrzymało się to trzeźwe wymaganie [8]). Ustawa dozwoliła tylko ale nie nakazała zniesienia posiadania gmin i stanowczego przejścia ziemi w prywatną własność, t. j. w posiadanie wieczne i dziedziczne członków gminy. Ponieważ zaś do tego potrzeba koniecznie większości $^2/_3$ głosów wszystkich członków gminy, ponieważ nadto ogromna masa próżniaków, leniwców, pijaków, zalegających w opłatach ciężarów przywiązanych do ziemi, woli posiadanie gminy, jako solidarnie za ich uiszczenie odpowiedzialnéj, przeto pojmiemy łatwo, że i po ukazie z roku 1861 prawie nigdzie nie wprowadzono własności prywatnéj [9]), ale ztąd przecież żaden motyw, usprawiedliwiający dzisiejszy stan rzeczy, nie może być czerpanym.

* *
*

Niezależnie od różnic lokalnych dzisiejsze urządzenia rólne w Rosji są następujące: las, pastwisko, rybołóstwo, polowanie są niepodzielne, używane przez wszystkich. Dom i ógród są w posiadaniu jednostek, przy opuszczeniu ich wszakże muszą je zbyć jednemu z członków gminy za jéj zezwoleniem i za dopełnieniem uprzedniém pewnych zobowiązań. Cena odkupu i cały ruchomy majątek stanowią własność prywatną. Perjodycznemu podziałowi poddane są role i łąki, a właściwie zbiory siana. Najgłówniejsze zasady, według których pojedyńczy członkowie gmin są wyposażeni ziemią, poprzednio już były wspomniane, obecnie dodajemy jeszcze tylko, co następuje [10]):

Skala podziału ziemi nie zawsze jest jednakową, często bardzo zmienia się podług lokalnych warunków, tudzież prawnego charakteru ziemi. W dobrach rządowych podział dokonywa się podług liczby dusz (jednostek) męzkich, zazwyczaj zaś podług t. z. tiagło, co ledwo przez pojęcie „bytu rodziny“ wyrazić można. Ale i samo pojęcie „tiagła“ przechodziło zarówno lokalne jak i historyczne zmiany. W zwykłych stósunkach zdaje się być zasadą powszechnie przyjętą, że zawarcie małżeństwa i utworzenie samoistnéj rodziny nadaje prawo do otrzymania udziału w gminnéj posiadłości a zarazem wkłada i obowiązek objęcia w posiadanie wyznaczonego kawała ziemi z przywiązanemi doń ciężarami. Szczególniéj na północy ten obowiązek charakterystycznie się

---

[3]) Tschitscherin j. wyżéj.

[4]) Haxth. Ländl. Verf. 417.

[5]) Bistram, 61.

[6]) Tschitscherin j. wyżéj; w szczegółach różni się nieco od v. Buschen. Walcker Selbstverw. d. Steuerwes. u. russ. Steuerref. Berlin 1869, § 41, str. 189.

[7]) Eckardt, Studien 499. Walcker 283.

[8]) Tamże, 484.

[9]) Haxthausen, Ländl. Verfass. 229. Eckardt 100—107.

[10]) Prawie ze wszystkich wyżéj cytowanych pism o rosyjskiéj organizacji własności robię wyjątki. W wielu jednak tych dziełach spotykam sprzeczności nie dające się wytłómaczyć różnością stósunków w danych miejscach.

wyrobił[11]). Wprawdzie ustawa z r. 1861 zaleca podział ziemi podług dusz, to jednak w praktyce ciągle się dzieje, iż podstawą tą zawsze jeszcze jest „tiaglo.“

Nawet i czas podziału zmienia się według miejscowości i zawisł od różnych zwyczajów, chociaż ustawa zdaje się wymagać, aby go przedsiębrano po każdéj t. z. rewizji. I te ostatnie nie odbywają się regularnie. Od r. 1719—21 aż do dziś dnia miały miejsce 10 razy, ostatnia w r. 1857[12]). Oprócz siana żaden inny podział co rok się nie dokonywa. Role dzielone bywają co 6 lat, częściéj co 9, niekiedy nawet co 12— 5, w dobrach rządowych po każdéj rewizji. Długość perjodów, oddzielających jeden podział od drugiego, zależy od ilości gruntu niepodzielonego a oczekującego na nowych członków gminy. Gdzie go brak albo jest go mało lub jest zły, gdzie poprzednio wydzielone ziemie rzadko są opróżnione a wielu nowych członków gminy przybywa, tam i nowe podziały gminnych gruntów częściéj przedsiębrane być muszą.

Przy ich dokonaniu zwraca się uwagę nietylko na dobroć gruntów ale i na ich położenie, gdyż to jest ważne bardzo przy extenyzwném rosyjskiém gospodarstwie i zwyczaju zabudowywania dużych przestrzeni. W rosyjskim systemie wioskowym przy trzypolowém po większéj części gospodarstwie, równość wydzielonych części da się urzeczywistnić tylko przez podział na drobne bardzo cząsteczki i różność pokładów ziemi jak największą. Dla względów klimatycznych rosyjski system wioskowy wiele ma za sobą niezaprzeczenie, mimo to urządzenie wsi środkowéj Europy byłoby i tam nader pożądaném, gdyż byłoby w niém do karczmy daleko, wzgląd, którego nigdy dosyć ważyć nie można. Obecnie w Rosji wieś każdą otaczają 3 pasy i te dzielą się na 3 części. Ziemia dzieli się na długie a wązkie zagony, po większéj części 21—42 stóp szerokie, 700—3,500 stóp długie (1/7 mili) i te właśnie zagony losem są podług ilości członków gminy między nich rozdzielone. Naturalnie, że podobnie rozrzucone położenie gruntów niezmiernie przeszkadza porządnéj uprawie. To jest powszechnie uznane. Aby temu zapobiedz wielu, a między innymi i Haxthausen zalecali wspólną uprawę[13]), ta jednak przedstawia większe jeszcze niedogodności. Projekta socjalistów starają się uniknąć tego wadliwego urządzenia i uważają je za charakterystyczny niedostatek rosyjskiego systemu.

Przy rosyjskiéj organizacji rólniczéj konieczną jest w wysokim stopniu zawisłość jednostki od gminy. Ponieważ brak osobistego interesu przy uprawie ziemi, a solidarna odpowiedzialność gminy nie jest niczém innem jak poręczeniem uczciwych, pracowitych i rządnych za próżniaków i pijaków, przez co naturalnie najwytrwalsi nawet tracą do pracy ochotę, więc nie pozostaje nic innego, jak żeby z góry wywierany przymus stał na straży, aby pola nie były nazbyt źle uprawiane a ciężary gruntowe uiszczane regularnie.

W tym celu nietylko dawniéj ale i po ukazie z roku 1861 zarząd gminy opatrzono w rozległą nadzorczą i wykonawczo-karną władzę. Podobną, tylko więcéj skuteczniejszą jeszcze władzę posiadał niemniéj przed r. 1861 (1863) i właściciel dóbr, a doświadczenie ostatnich lat kilku smutnie przekonało, że z odjęciem mu téj władzy, zadziwiające nastąpiło zmniejszenie się w wiejskiéj ludności pilności, pracy, porządku i gospodarczéj skrzętności. Władza gminy okazała się niedostateczną, a przecież i dziś jeszcze jest niemałą!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[11]) Eckardt, 71.

[12]) Manifest z 26 sierp. 1856 i Rozporz. z 3 czerwca 1857.

[13]) Haxth. III, 152. Schédo-Ferroti, 16.

ODWROTNA STRONA MEDALU.

Kartka z życia

przez

Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

X.

Zdarza się często w życiu naszém, że, niedokładnie świadomi przebiegu zaszłych wypadków, do najmylniejszych dochodzimy wyobrażeń o ludziach, z którymi mamy do czynienia.

W takiéj fałszywéj pozycji znajdował się właśnie pan Maurycy względem pana Kwiryna.

W dniu opisanego przez nas wypadku u Żalickich pan Grzmocki, jak wiemy, był nietylko przekonany o niezwykłéj przewrotności Zakuckiego, ale nawet wierzył w to, że ten mały człowieczek, z biegającemi jak żywe srebro oczyma, umyślnie wprowadził go w zasadzkę, któréj ledwie cudem uniknął. Chciał nawet owego dnia biedz na policję, ażeby aresztowała szajkę bandytów, która na niego taki niecny zamach zrobiła.

Wiemy, że na razie odstąpił od tego zamiaru, bo nie spodziewał się, aby winowajcy czekali, aż ich na miejscu popełnionéj zbrodni przyjdzie ująć sprawiedliwość. Gdy czas pewien upłynął, tém mniéj mu na myśl przyjść mogło rozpoczynać jakie poszukiwania, postanowił puścić tę sprawę w niepamięć, być tylko na przyszłość ostrożniejszym w stósunkach z obcymi ludźmi. Co do Zakuckiego zaś był pewnym, że już on sam będzie się umiał postarać o to, żeby się z nim więcéj w życiu nie spotkał.

To téż gdyby pan Kwiryn, przyszedłszy do pana Grzmockiego, zastał go samego w gabinecie, przyjęciem, jakiegoby tam doznał, zdziwiłby się może bardziéj niż tém, że go wzięto za warjata i zamknięto na dwa spusty.

Wypadek chciał, że Zakucki stanął przed panem Maurycym w chwili, gdy ten potrzebował odeprzeć oskarżenie, iż popełnił akt samowoli na nim właśnie. Pan Kwiryn spadał jak z nieba, kiedy był najpotrzebniejszym, nie było czasu na rozprawianie się z nim, pilniejszém się zdawało jego świadectwo.

Tym sposobem zamiast przyjęcia, jakie go czekało, pan Kwiryn napotkał powitanie prawie przyjacielskie.

Lecz gdy doktor Putzig odszedł, gdy chęć do śmiechu z jego konfuzji pana Maurycego odstąpiła, przypomniały mu się nagle niedawne zajścia i oburzyło go zuchwalstwo, z jakiém Zakucki po nieudanym zamachu ośmielił się przychodzić do niego, zapewne w zamiarze zastawienia na niego sieci powtórnie.

Zrazu pan Grzmocki nawet pojąć nie mógł tego zuchwalstwa. Zdawało mu się, że niepodobna, żeby Zakucki tak lekceważył niebezpieczeństwo, na jakie się wystawiał, oddając się w jego ręce. Jak błyskawica przebiegła mu po głowie myśl, że pan Kwiryn może nie miał złego zamiaru, prowadząc go na ulicę Przymiejską. Ale

ta myśl od razu ustąpić musiała, gdy sobie zadał pytanie:

— Ba! jeżeli nie knuli złych zamiarów, po cóż uderzyli mnie tą pałką?...

Argument ten był niezwalczony. Jeżeli Zakucki przychodził, przychodził zapewne dla tego, że, korzystając z czasu, najdoskonaléj zatarł ślady swego zamachu i był pewny, iż mu nic dowieść nie będzie można.

Rzeczywiście udowodnienie byłoby prawie niemożebném. Świadków tego, co zaszło, pan Maurycy nie miał zupełnie, Zakucki mógł wszystkiemu zaprzeczyć i musianoby mu uwierzyć. To tłómaczyło śmiałość, z jaką przychodził, a panu Maurycemu odebrało ochotę do wszelkich groźb i wyrzutów.

Po długiéj chwili milczenia, w któréj rozważał wszystkie powyżéj przytoczone okoliczności, pan Grzmocki odezwał się nareszcie:

— Prawdziwie, — rzekł siląc się na grzeczność i spokojność, — zastanawia mnie, że po tém, co zaszło, miałeś pan odwagę przyjść jeszcze do mnie.

Słowa te nie zdziwiły Zakuckiego. Rzeczywiście trzeba było odwagi, żeby przychodzić do człowieka, który, gdy mu przyszła fantazja, zdrowych do warjatów zamykał. Zdziwił go tylko ton, jakim te słowa powiedział pan Maurycy, bo w tonie tym czuć było niedającą się ukryć urazę.

— Wyznaję, — rzekł, — że pan mogłeś mieć niejaki żal do mnie... wszelako...

— Niejaki żal!... — wzruszył ramionami pan Grzmocki, — niejaki żal! — to mi się podoba... Panie Zakucki... przedewszystkiém jestem otwarty... wizyta pańska dziwi mnie, a nie lubię długo się dziwić... powiedz pan, z czém i po co przyszedłeś...

Zakucki spojrzał na pana Maurycego, jakby dobrze nie dosłyszał jego wyrazów. Twarz miljonera nie przedstawiała żadnéj wątpliwości, trzeba było brać wyrazy tak, jak były powiedziane.

Pan Kwiryn powstał i przybrał minę poważną, dającą do zrozumienia, że sobie ubliżać nie pozwoli.

— Wyznaję, panie hrabio, — rzekł, po raz pierwszy tytułując go, — że naraziłem pana na nieprzyjemność... wszelako nie moja w tém wina... a choćby była moja, to zemsta pańska, którą panu chętnie wybaczam, powinna go była dostatecznie wynagrodzić za chwilowy lekki ból i przykrość.

— Nie jego wina!... moja zemsta!... a! to już przechodzi pojęcie!... — uniósł się pan Maurycy, — powiedz mi, człowieku, kto jeśli nie ty wprowadziłeś mnie do jakiéjś jaskini zbójeckiéj, gdzie mnie na przywitanie pałką w łeb uderzono i zkąd cudem prawie uszedłem?... powiedz mi, człowieku, kiedym się mścił za to i jak?...

— Zaprowadziłem pana do uczciwych choć biednych ludzi, gdzie nikt z pałką nie godził na pańskie życie, — odparł z oburzeniem Zakucki, — tylkoś się sam głową o belkę uderzył, bo nie umiesz chodzić po schodach, prowadzących do mieszkania téj nędzy, któréj się mienisz protektorem, opiekunem i dobroczyńcą... Zaprowadziłem cię tam, boś na to przystał i pozwolił... Ty za chwilowy ból, którego skutkiem nieuwagi własnéj doznałeś, kazałeś mnie zamknąć w domu warjatów, a kiedym ztamtąd uciekł i stanął przed tobą, żeby cię spytać, jakiém prawem to uczyniłeś, zażądałeś odemnie świadectwa, żeś tego nie czynił. Dałem ci to świadectwo i przebaczyłem ci, jasny panie, a ty teraz ubliżasz mi i urągasz. Porównajże siebie ze mną, protektorze nieszczęśliwych, osądź sam, kto z nas lepszy, i bywaj zdrów.

To powiedziawszy jednym tchem, z rosnącym co chwila zapałem, Zakucki nałożył z fantazją na głowę swoją czapkę baranią i skierował się ku drzwiom.

Pan Maurycy osłupiał.

Zuchwały ton pana Kwiryna, wznowiony zarzut mniemanego osadzenia go w domu warjatów, prawdopodobieństwo wyjaśnienia, jakie dawał Zakucki co do wypadku u Żalickich, uderzenie w najdrażliwszą stronę jego dumy przez podanie w wątpliwość zasług jego jako filantropa, do których najwyższą przywiązywał wagę, wreszcie pogarda, jaką mu okazano, niższość, jaką mu wytknięto, czapka, którą w jego pokoju na głowę włożono, wszystko to bodło go do żywego i wszystko to razem nie mogło się w jego głowie pomieścić.

Czuł, że część z tego, co mówił Zakucki, mogła mieć i zapewne miała jakąś podstawę. Niepodobna było przypuszczać, żeby oburzenie pana Kwiryna było komedją; ale do jednéj nie poczuwał się winy, jednéj rzeczy nie pojmował pan Grzmocki, z jednego zarzutu był pewnym, że się oczyści, nie chciał więc dopuścić, aby niepozorny gość zostawił go pod ciężarem tego zarzutu.

Pobiegł za nim, zatrzymał go za rękę i rzekł:

— Słuchaj, panie Zakucki, dowiedź mi, żem cię kazał zamknąć w domu warjatów, a przeproszę cię za wszystko i uczynię co będziesz chciał.

— Dobrze! zwołaj pan swoją służbę... twoi ludzie mnie odwozili...

Pan Grzmocki zadzwonił, na progu ukazał się znany już czytelnikom kamerdyner Wincenty i pan Maurycy dowiedział się nareszcie z niemałém przerażeniem, że z jego domu, jego karetą jego służba w jego imieniu, z rozkazu jego rodzonych dzieci, hrabiny z domu Grzmockiéj i małżonka baronówny, odstawiła do domu warjatów człowieka, który tylko tyle zawinił, że mu odnosił jego zapomnianą czapkę.

Że biorący wszystko na rozum kamerdyner Wincenty tego dnia nie stracił miejsca, miał to do zawdzięczenia jedynie wstawieniu się pana Kwiryna, który nie chciał, żeby ekspjacją niesprawiedliwości, jaką mu wyrządzono, miała być inna niesprawiedliwość.

Pan Maurycy rozrzewnił się naprawdę cierpieniami i katuszami, jakich z jego przyczyny doświadczył Zakucki, robił sobie gorzkie wyrzuty o swoją podejrzliwość, wstydził się trwogi, jaka go przejęła na widok ślepéj Katarzyny z nożem, i w wylęknionéj jego wyobraźni lekkie stłuczenie czoła w widmo zamachu morderczego zmieniła.

— Sercem ci to nagrodzę, panie Zakucki, — powtarzał, — sercem nagrodzę... żądaj odemnie czego chcesz, jestem na twoje rozkazy...

— Nic nie żądam dla siebie, panie... nic nie potrzebuję, ale są ludzie cierpiący nędzę niezasłużenie, tym podaj rękę, tym pomagaj.. Nie potrzebujesz wyświadczać im łaski, dawać jałmużny... stósunki twoje mogą im otworzyć pole do pracy, twoje słowo może im dać kredyt, który im do téj pracy poda środki... masz majątek... umieszczasz go w papierach, które puszczają w obieg szarlatani i oszuści, umieszczasz dla tego, żeby marnie nie leżał, żeby ci przynosił jakąś korzyść... zyskujesz na tém albo tracisz; lecz jeśli zyskujesz, stajesz się wspólnikiem tych eksploatatorów, tych wyzyskiwaczy; jeżeli tracisz, padasz ich ofiarą. Gdybyś te same pieniądze oddał w ręce uczciwych ludzi, którzy dla braku kapitału nie są w możności pracować, ci ludzie zwróciliby ci je częściami, dając taki sam procent jaki tamci wyzyskiwacze obiecują, i stałbyś się ich prawdziwym ojcem, opiekunem, dobroczyńcą. Ale takich uczciwych ludzi, którym godzi się i należy podać rękę, trzeba poszukać samemu; oni się nie narzucą, oni swéj własnéj uczciwości, jedynéj swojéj księgi hipotycznéj, do przejrzenia ci nie przyniosą... Gdybyś zamiast kupować akcje kupił słuszny proces, którego zacna rodzina dla braku środków kończyć nie może, płacąc zań tyle ile ci sumienie każe, mógłbyś zarobić na tém pół na pół a zyskałbyś kilka serc, któreby cię błogosławiły do grobu, kilkoro ludzi, którzyby dzieci swoje uczyli z wdzięcznością wymawiać twe nazwisko...

— Widzę, że mnie pan niezupełnie rozumiesz, pa-

nie Zakucki, — odpowiedział na to pan Maurycy, — radzisz mi jakieś pożyczki na procenta, jakieś spekulacje na kupowaniu procesów, jakieś rzeczy, któremi bawią się tylko żydzi, i które nie są zgodne ani z charakterem moim, ani z pozycją. Dopomagać biednym, zrobić coś dla nędzy, dokonać jakiegoś wielkiego i w późne czasy przynoszącego pożytek dzieła, oto jest moje zadanie. Na taką fundację przeznaczyłem kapitał znaczny... wierz mi, panie Zakucki, bardzo znaczny... Szukam i rozglądam się do koła, żeby mi kto wskazał, na co najpożyteczniéj mogę użyć tego kapitału; sądziłem, że pan, zapoznając mnie z rzeczywistą nędzą, ułatwisz mi obmyślenie jakiéjś instytucji, któraby jéj pomoc niosła; ale widzę, że tobie chodzi o to, żebym wsparł pewną liczbę jednostek i na tém poprzestał... To dla drobnych filantropów, panie Zakucki; komu, jak mnie, los dał dużo, ten powinien coś trwalszego zbudować. Pójdę z tobą chętnie do tych, których mi wskażesz i dopomogę im, o ile to będzie w mojéj mocy, o ile to się będzie mogło stać bez uszczerbku dla mojéj myśli, o ile to środków, jakie na wielkie dzieło mojego życia przeznaczyłem, nie nadweręży... tyle ci przyrzekam, panie Zakucki, ale krzywdziłbyś przyszłość i ogół, gdybyś żądał więcéj odemnie.

Zakucki słuchał tych słów, które dziwne na nim robiły wrażenie. Drobna jego twarz stawała się coraz dłuższą, coraz dłuższą, aż nareszcie przedłużyła się tak, że pan Maurycy pojąć nie mógł, iż do niego należeć mogła. W oczach za to pana Kwiryna postać pana Grzmockiego zdawała się zmniejszać i maleć, aż nareszcie biedny Zakucki nie był w stanie zrozumieć, jakim sposobem na piedestale takiéj rozgłośnéj sławy taka mała postać stać mogła.

I panu Kwirynowi zrobiło się jakoś smutno, a panu Maurycemu jakoś nieswojo. Obaj jak gdyby czegoś żałowali: pan Kwiryn może tego, że ze swoim mizernym projektem przyszedł do takiego wielkiego filantropa, a pan Maurycy może tego, że swoje wielkie plany przed takim małym człowieczkiem odsłonił.

— Przepraszam pana hrabiego, — rzekł nareszcie pan Kwiryn, — widzę, żem pana nie pojmował i że myśl moja nie była odpowiednią dla pana. Pańskie operacje nie mogą być skierowane na tę stronę medalu, któréj nie widać... nie godzi się krzywdzić przyszłości i ogółu. Wszelako nie godzi się i mnie krzywdzić jednostek, skoro pan dla nich objawiłeś dobrą wolę, choćby tych kilku jednostek, które przedewszystkiém miałem na myśli. Chciałem pana pokumać z pewną biedną rodziną, mającą całe mienie w procesie a dla ostatecznego niedostatku nie mogącą prowadzić tego procesu... Jako chrzestny ojciec dziecka, które ma być dziedzicem téj sprawy, mógłbyś się pan nią zająć a na jéj rachunek dać rodzicom jakąś zaliczkę; ale pan nie możesz się wdawać w takie sprawy... a zresztą nieszczęście chciało, że się już znalazł inny chrzestny ojciec, który także zapewne zrobić tego nie będzie w stanie... Jest jednak inna okoliczność, w któréj pan możesz coś uczynić, wszelako bez nadwerężenia kapitału przeznaczonego na piękną i zbawienną instytucję dla przyszłości. Pod pewnym względem jesteś pan do tego obowiązany nawet. Wybiegając od Zalickich, w przestrachu potrąciłeś pan ich kuzynkę, biedną, śliczną dziewczynę, tak że upadła zakrwawiona i zemdlona. Doktor, którego sprowadziłem dla pana, zamiast pańskiego stłuczenia opatrzył jéj ranę. Był to człowiek młody i lekkomyślny, jak się zdaje. Mnie tam nie było i oka na nich mieć nie mogłem. Kilka dni wystarczyło, dziewczyna zakochała się, a on... nie wiem. Najpewniéj łudzi ją albo siebie, w każdym razie albo nie będzie chciał, albo nie będzie mógł ożenić się z nic nie mającą sierotą. Porzuci ją i złamie jéj życie, jeżeli będzie miała dość siły, ażeby wytrwać w dobrém; zgubi ją, jeżeli niedoświadczona upadnie...

— To nieszczęście! — rzekł pan Maurycy głosem nieudanego współczucia, — i ja tego nieszczęścia jestem mimowolną przyczyną!... Panie Zakucki, ja to wynagrodzę, ja to naprawię... widzę, że się panu moje projekta i plany nie podobają, wyrażasz się o nich z przekąsem... ale mnie nie znasz, panie Zakucki... nie wyrzekając się tego, co sobie ułożył, Grzmocki przecież jest jeszcze w stanie dać jakiś posag téj dziewczynie...

Pan Kwiryn uścisnął szczerze wyciągniętą do siebie dłoń miljonera.

— Szlachetnie to i zacnie z pańskiéj strony, — rzekł, — wszelako nie o to jeszcze idzie. Być może, iż obędziemy się bez tego, pozwól mi pan działać i przyrzecz, że, gdy i o ile będzie potrzeba, dopomożesz.

Że pan Grzmocki z ochotą przystał na tę propozycję, zbytecznem byłoby dodawać. Był to człowiek jak każdy inny, — miał swoją słabość, chciał zrobić coś dla ludzkości takiego, przez coby imię jego zostać mogło sławném po wszystkie czasy, chciał się uwiekopomnić jakimś nowym wynalazkiem uszczęśliwiania bliźnich, — ale mimo to miał rzeczywiście dobre serce a tam szczególniéj, gdzie się złe stało, chociaż po części z jego winy, nie mógł nie pospieszyć z pomocą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z PRZYRODY.

O znaczeniu języka

dla historji naturalnéj człowieka†).

Nie ma już dziś zapewne naturalisty, ktòryby utrzymywał, że czynność jakiegokolwiek organu (n. p. gruczołów, mózgu, mięśni, organów trawienia i t. p.) jest niezależną od samego organu. Różne n. p. rodzaje chodu ludzi i zwierząt najwidoczniéj zależą od różnicy, jaka istnieje między przyrządami miejscozmienności u różnych ludzi i zwierząt. Czynność, funkcja organów jest, że się tak wyrażę, jedném z zjawisk samego organu, choć nie zawsze można odkryć materjalną jego przyczynę. Cośmy powiedzieli o chodzie, toż samo możemy powiedzieć i o języku; mowa, która działa na nasz organ słuchu, jest objawem czynności tych wszystkich materjalnych warunków, jakie się kryją w budowie naszego mózgu, organów mowy i odpowiednich nerwów, kości, mięśni i t. d.*). Anatomja wprawdzie nie dowiodła jeszcze, że język i różnice językowe mają taką podstawę materjalną; ale z drugiéj strony, o ile wiemy, nie próbowano dotąd jeszcze zbadać porównawczym sposobem organów mowy rozmaitych ludów. Bardzo być może a nawet bardzo jest prawdopodobném, że badanie tego rodzaju

*) Myśl ta nie jest nową. Wypowiedział ją już L. Dieffenbach w „Vorschule der Völkerkunde.“ Frankfurt n. M. 1864, str. 40 i nast. Porównaj także uwagę.

†) „Ueber die Bedeutung der Sprache für die Naturgeschichte des Menschen“ von A. Schleicher.

nie doprowadzi nas do zadawalniających rezultatów, jednak okoliczność ta bynajmniéj nie zniweczy w nas przekonania o istnieniu materjalnéj, cielesnéj podstawy języka. Bo i któż może przeczyć istnieniu takich materjalnych warunków, których dotąd nie mogliśmy i których może nigdy nie będziemy mogli badać bezpośrednio. Zresztą przypomnijmy sobie, jak wielkie znaczenie ma działanie nawet nieskończenie małych ilości i stósunków; dowodem tego są zjawiska spektralne, zjawisko barwności i zapachu roślin, zjawisko zapładniającego spermatozoidu, który okazuje tak wielki wpływ na późniejsze potomstwo i t. p. Dla czegożby więc różnice językowe nie mogły zależeć od równie nieskończenie małych różnic, jakie mogą zachodzić w naturze mózgu i órganów mowy różnych narodów**).

Ponieważ nie znamy dotychczas owéj materjalnéj podstawy języka, ograniczymy się przeto na badaniu w języku jéj skutków. W tym celu tak postępujemy z językiem, jak fizyk postępuje ze słońcem przy badaniu światła słonecznego, albowiem i on w tym razie nie może robić bezpośrednich badań nad samém źródłem światła słonecznego.

Czém dla słońca jest światło, tém dla języka jest dźwięk, który słyszeć możemy; jak własności światła słonecznego dowodzą nam jego materjalnéj podstawy' tak własności dźwięku dowodzą nam materjalnéj podstawy języka. Materjalne warunki, leżące w podstawie języka, i ich skutek t. j. dźwięki mają się do siebie jak przyczyna do skutku, jak istota rzeczy do swego zjawiska; filozof wyraziłby się, że to są rzeczy identyczne. Mamy więc prawo utrzymywać, że języki są czémś, co materjalnie istnieje, bez względu na to, że języka nie możemy się dotknąć ani téż zobaczyć, lecz go tylko słyszeć możemy.

Niektórzy zarzucają nam, że się mylimy, uważając organizmy językowe za realne jestestwa (wirkliche Existenzen); podług ich zdania język ma być tylko skutkiem czynności pewnych organów a nie czémś, co ma byt materjalny (materielle Wirklichkeiten). Zdaje mi się, że to, com dotąd o języku powiedział, jest dostateczném, aby okazać bezzasadność podobnego mniemania.

Nim wykażę, jakie znaczenie ma język dla historji naturalnéj człowieka, odpowiem na jeden jeszcze zarzut tyczący się materjalnéj istoty (Substantialität) języka. Za zarzut ma służyć ta okoliczność, że każdy człowiek jest przecież w stanie nauczyć się kilku obcych języków, innemi słowy, jeśli język istotnie zależy od pewnéj własności, natury mózgu i organów mowy, jakim więc sposobem możemy się uczyć obcych języków? Mógłbym się wrócić do użytego na wstępie porównania i na to krótko odpowiedzieć: wszak każdy przyzna, że człowiek jest również zdolny nauczyć się chodzić nietylko na czworakach ale nawet do góry nogami, a jednak czy ta okoliczność może nam służyć za dowód, że nasz chód naturalny nie zależy od natury naszego ciała i że jest tylko jednym z jéj objawów? Ale przypatrzmy się bliżéj robionemu nam zarzutowi przeciwko materjalnéj istocie języka. Przedewszystkiém rodzi się w nas pytanie, czy można kiedykolwiek obcy język w zupełności sobie przyswoić? Co do mnie, wątpię o tém; przypuszczam coś podobnego jedynie w tym razie, jeśli ktoś jeszcze w dzieciństwie zaczął mówić obcym językiem. Ale człowiek taki staje się zupełnie innym człowiekiem, albowiem jego mózg i organa mowy zaczynają się rozwijać w innym zupełnie kierunku. Jeśli mi ktoś powie, że N. N. z równą łatwością mówi i pisze po niemiecku, angielsku, francuzku i t. d., nie uwierzę mu. Ale przypuśćmy wreszcie, że ktoś może być zarazem Niemcem, Anglikiem i Francuzem; w takim razie zwrócę waszą uwagę na to, że wszystkie indoeuropejskie języki należą do jednéj familji języków, że są tylko odmianami (w obszerném znaczeniu tego wyrazu) jednego języka. Ale pokażcie mi człowieka, któryby z równą łatwością myślał i mówił dwoma językami wręcz od siebie różnemi, któryby z równą łatwością mówił po niemiecku i po chińsku, po nowo-zelandzku i czerokiezku, po arabsku i hottentocku. Jestem pewny, że takiego człowieka nie znajdziecie, jak nie znajdziecie istoty, któraby z równą łatwością chodziła na czworakach i na dwóch nogach. Jakąż nieraz trudność sprawia nam samo wymawianie dźwięków właściwych tylko obcemu językowi, a jak często się zdarza, że nasze ucho nie może w żaden sposób dokładnie dosłyszeć wyrazów obcych języków! Nie ulega wątpliwości, że organa nasze posiadają, że tak powiem, pewien stopień rozciągliwości, t. j. że mogą wypełniać takie czynności, jakie nie leżą bynajmniéj w ich naturze, mimo to jednak każdy organ stale i niezmiennie spełnia właściwie tylko jedną, zgodną z jego naturą funkcją. Toż samo możemy powiedzieć i o tych naszych organach, których funkcją jest język. Słowem okoliczność, że człowiek może wyuczyć się kilku obcych języków, nie zbija bynajmniéj naszego przekonania, że język opiera się na podstawie materjalnéj, kryjącéj się w naturze naszego mózgu i organów mównych.

Dowiedliśmy, że język istnieje realnie i materjalnie. Okoliczność ta nadaje głębsze znaczenie pewnemu spostrzeżeniu Huxley'a, t. j. temu, że całą różnicę między człowiekiem a bliskimi mu antropoidami (jako to: gorylem, szympansem, orangutanem, gibbonem) stanowi język*), innemi słowy, że język t. j. zdolność wyrażania za pomocą dźwięku swych myśli jest jedyną charakterystyczną cechą człowieka. I zwierzęta posiadają wprawdzie dźwięki, ale te przedstawiają nam tylko pewien rodzaj giestów, oddawanych za pomocą dźwięków (Lautgebärden); służą one zwierzętom do bezpośredniego wyrażania a nawet udzielania innym zwierzętom swych uczuć i chęci, jak to czynią za pomocą innych giestów; zwierzęta wyrażając w ten sposób swe uczucia, wywołują bardzo prawdopodobnie pewne pojęcia w innych istotach i to jest powodem, iż mówimy, że i zwierzęta mają swój język. Pamiętajmy jednak, że ani jedno zwierzę nie może za pomocą dźwięku bezpośrednio wyrazić swych myśli. Ten fakt jest tak widocznym, że nawet w życiu potoczném bardzo często spotykamy się ze zdaniem, że małpa, zwierzę, które zewnętrznie tak się różni od człowieka, byłaby zupełnym człowiekiem, gdyby tylko posiadała mowę. Głuchoniemi nie są pozbawieni mowy: „inpotentiâ"; posiadają mowę w takim samym stopniu co i my, albowiem ich mózg i organa mówne tak są zbudowane, jak i u ludzi cieszących się zdrowym organem słuchu. Inaczéj głuchoniemi nie mogliby nauczyć się ani czytać ani pisać. Przeciwnie nie możemy uważać za ludzi w istotném znaczeniu tego słowa tych skarłowaciałych ludzi, którzy prawdziwie są pozbawieni języka, mikrocefalów i t. p., ponieważ podobne istoty nietylko że nie mają mowy, ale nie mają nawet odpowiednich ku temu warunków.

Jeśli więc jedyną charakterystyczną cechę (humanum κατ' ἐξοχήν) człowieka stanowi mowa, czyż nie powinniśmy wziąć języka za podstawę naukowéj klasyfikacji ludzkości, wziąść za podstawę naturalnego systematu rodzaju ludzkiego (generis „homo?").

Tak zwane różnice rasowe (n. p. różnica w budowie czaszki) mają bardzo niestały charakter, przeciwnie język stanowi zawsze cechę niewzruszoną. Traf

**) Porów. Th. H. Huxley: „Zeugnisse für die Stellung des Menschen in der Natur", übersetzt von J. V. Carus. Braunschweig 1863, str. 117, uwaga.

*) Th. H. Huxley: „Zeugnisse für die Stellung des Menschen in der Natur, übers. v. J. V. Carus. Braunschweig, 1863, str. 127.

może zrządzić że znajdzie się jaki Niemiec, który z włosów i budowy twarzy będzie bardzo podobnym do negra jak najczystszéj krwi, ale czyż ten Niemiec będzie mówił językiem negrów, jeśli się go nie uczył? Że dane cechy rasowe nie zawsze stanowią prawdziwą cechę danéj rasy ludzkiéj, dowodzi nam okoliczność, że plemiona mówiące językami należącemi do jednéj familji okazują nieraz niejednakowe cechy rasowe. Na przykład osiadły osmański Turek należy do rasy kaukazkiéj, inne zaś szczepy tureckie, tatarskiemi zwane, należą do rasy mongolskiéj; na odwrót, między Madjarem i Biskajczykiem z jednéj, a Indo-europejczykiem z drugiéj strony nie ma istotnéj różnicy co do fizycznéj ich budowy, pod względem zaś językowym, trzy te plemiona wielce się różnią od siebie. Nie dość na tém, że różnice rasowe są tak chwiejne, ale prócz tego nadzwyczaj trudno przyprowadzić je do naukowego systematu naturalnego; z językami zaś pod tym względem daleko łatwiejsza sprawa, jeśli tylko za podstawę ich systematu weźmiemy ich formę czyli stronę morfologiczną, jak to ma miejsce przy systematyzowaniu innych istót żyjących. W niniejszéj krótkiéj rozprawie nie możemy téj kwestji bliżéj rozpatrzeć. Nam się zdaje, że zewnętrzne różnice, jakie nam przedstawia budowa ciała w ogólności, a w szczególności budowa czaszki i szkieletu twarzy, mniéj mają dla nas znaczenia, niż ta nierównie delikatniejsza, choć równie materjalna właściwość ustroju naszego ciała, któréj symptomatem jest język. Dla mnie systemat naturalny języków jest zarazem systematem ludzkości. Z językiem zaś ściśle się łączy wyższe duchowe życie człowieka i dla tego też, badając język, przez to samo badamy duchową działalność człowieka.

Nie wątpimy bynajmniéj o znaczeniu, jakie ma dla języka budowa mózgu i zależna od niéj forma czaszki człowieka, nie wątpimy również o ważném znaczeniu dokładnych badań robionych nad różnicami, jakie zachodzą w fizycznym ustroju ludzi; chcemy tylko powiedzieć, że nauka nie powinna brać tak cielesnych różnic za punkt wyjścia przy systematyzowaniu współczesnéj nam ludzkości. Zwierzęta wreszcie porządkujemy sobie według ich zewnętrznéj postaci; ale w stósunku do człowieka zewnętrzną jego postać uważamy za przestały już stan przejściowy (nunmehr überwundenes Moment), który mniéj więcéj nie ma znaczenia dla prawdziwéj istoty człowieka. Nam się zdaje, że ród ludzki powinniśmy klasyfikować na podstawie wyższéj, delikatniejszéj, jemu tylko właściwéj, t. j. na podstawie języków.

Język ma znaczenie nietylko dla zbudowania naturalnego systematu współczesnéj nam ludzkości; jest on równie ważny i dla historji rozwoju ludzkości. Wiemy, że język stanowi jedyną charakterystyczną cechę człowieka i dla tego też różne odcienia językowe powinny nam służyć za dotykalne charakterystyczne cechy różnych odcieni człowieka (każdy się domyśli, dla czego umyślnie nie używam tutaj wyrażeń jak „rodzaj", „gatunek" i „odmiana"). Badania językowe pokazują, że język nie od razu, lecz bardzo powoli powstawał, że był czas, kiedy języków jeszcze nie było na ziemi; porównawcza anatomja języków dowodzi, że języki z więcéj rozwiniętym organizmem powstały z mniéj rozwiniętych językowych organizmów w przeciągu bardzo długiego czasu; nauka języka (die Glottik) nie przeczy bynajmniéj temu, że najprostszy sposób wyrażania myśli za pomocą dźwięku, i że języki najprostszéj budowy powstały z giestów, jakie głosem oddajemy (Lautgebärden) i z naśladowania dźwięków przyrody, jak to ma miejsce u zwierząt. Za dalekobyśmy zaszli, gdybyśmy chcieli tę myśl więcéj tutaj rozwinąć. W każdym razie sądzę, że przyrodoznawstwo w tym stanie, w jakim się dziś znajduje, nie ma powodu wątpić o prawdopodobieństwie tych wyników językoznawstwa.

Zdaje mi się, że mogę sobie oszczędzić pracy i nie trudzić się zbijaniem zdania tych, którzy utrzymują, że język jest wynalazkiem jednego człowieka, lub że został udzielony człowiekowi przez jakąś zewnętrzną przyczynę. Widzimy, że język nawet w tak krótkim przeciągu czasu, jakim jest dotychczasowe życie historyczne człowieka, ulegał i ulega ciągłym zmianom; ztąd wniosek, że język jest produktem powolnego rozwoju według pewnych określonych praw życia językowego; prawa te znamy w ich najcharakterystyczniejszych rysach. Jeśli zaś przyjęliśmy, że język ma podstawę materjalną, kryjącą się w fizycznym ustroju człowieka, przyjąć także musimy, że początek i rozwój języka idzie nierozłącznie z rozwojem mózgu i organów mowy.

Jeśli więc język dopiéro czyni nas ludźmi, nie byli praojcowie nasi od razu tym, co dziś pod słowem „człowiek" rozumiemy; stali się ludźmi wtedy dopiéro, kiedy się rozwinął język; rozwój zaś języka jest dla nas rozwojem mózgu i organów mowy; — jak widzimy, fakta językowe prowadzą nas do wniosku, że człowiek rozwinął się z niższych form organicznych. Jak wiadomo, przyszły do tego samego rezultatu i nauki przyrodnicze, chociaż drogą zupełnie inną. Już przez to samo język powinien mieć znaczenie dla nauk przyrodniczych, a głównie dla historji rozwoju ludzkości. Badanie, analiza języków da nam materjały do dokładnego odrysowania przedhistorycznéj epoki człowieka.

Języki, które udało się nauce rozłożyć na ich najprostsze żywioły, jak również i te żywioły, które zatrzymały się na najniższym stopniu rozwoju, pokazują, że forma języków była wszędzie jednakową. Początkowo języki składały się tylko z dźwięków, które służyły do oznaczenia pewnych wyobrażeń i pojęć; o częściach mowy, o deklinacji i konjugacji, służących do wyrażenia stósunków pomiędzy rzeczami, nie mogło być wtedy ani mowy; są one wynikiem późniejszych czasów, wynikiem, który nie wszystkie języki w równym stopniu, niektóre zaś zupełnie nie osiągnęły. Tak na przykład w chińskim języku do dziś dnia nie ma żadnéj różnicy co do dźwięków między częściami mowy; ze znanych mi języków tylko w indo-europejskim znalazłem prawdziwe słowa (verba) w przeciwieństwie do imion (nomina*). Ale tylko pod względem morfologicznym, t. j. formy pierwotnéj języki nie różnią się od siebie, natomiast już od samego początku musiały się one różnić w dźwiękach, pojęciach, jakie wyrażano w danym dźwięku, jak również i w nierównéj zdolności do rozwoju. Niepodobna sprowadzić wszystkich języków do jednego pierwotnego języka; przeciwnie, jeśli bez żadnych uprzedzeń będziemy badali języki, przyjdziemy do wniosku, że tyle było pierwotnych języków, ile jest szczepów językowych. Z postępem czasu giną języki, nowe jednak nie powstają nigdy, albowiem język mógł powstać jedynie w tym perjodzie czasu, który obejmuje w sobie cały rozwój człowieka z niższych form organicznych. Niezliczona liczba języków zaginęła bardzo prawdopodobnie w owych niezmiernie długich czasach przedhistorycznych, gdy tymczasem inne szeroko rozpostarły się po za pierwotne swe granice, rozpadając się przytém na mnóstwo różnorodnych form językowych. Musimy więc przyjąć, że liczba pierwotnych języków była niezliczoną.

Z późniejszém życiem języka zapoznajemy się za pomocą badań, robionych nad nim bezpośrednio. Wszystkim prawom życia języków, które obecnie rozważyć możemy, przypisujemy moc obowiązującą i dla języka tych epok, nad któremi nie możemy robić bezpośrednich spostrzeżeń, a więc także i dla epoki powstawania języków, które się ciągnęło przez pewien przeciąg czasu. Zauważono, że język ludzi, żyjących w jednakowych warunkach

*) Porównaj „Die Unterscheidung von Nomen und Verbum in der lautlichen Form." Leipzip, 1865. (Abh. der philol.-histor. Classe der kön. S. Ges. der Wiss. Bd. IV, N. V).

z czasem zmienia się samodzielnie (spontan) i zgodnie w ustach wszystkich jednostek mówiących jednym językiem. To spostrzeżenie prowadzi nas do wniosku, że w każdéj z tych istót, które żyły w jednakowych warunkach życia, a które blizko siebie żyły, powstał niegdyś jeden i ten sam co do swéj natury język. Im różnorodniejszemi były warunki, przy których ludzie stali się prawdziwymi ludźmi, tém rozmaiciéj formowały się ich języki.

Wędrówki, wojny, przewroty w naturze i t. p., które miały miejsce nietylko w czasach historycznych ale bezwątpienia i w nierównie dłuższych przedhistorycznych, burzyły pierwotne warunki życia; mimo to jednak dziś jeszcze możemy zauważyć, że języki całych części ziemi bez względu na swą rozmaitość mają pewne wspólne cechy, jak na przykład flora i fauna całych obszarów ziemi. Widzieć to możemy szczególniéj na językach pierwotnych mieszkańców nowego świata i na wszystkich językach mieszkańców wysp południowych (na malajsko-polynezyjskich i na znanych nam językach negrów Australji). Na tak wielkim obszarze spostrzegamy uderzające podobieństwo form językowych, chociaż tych języków nie można sprowadzić do jednego głównego języka. Największą rozmaitość przedstawiają nam języki Azji i Europy (które dla językoznawstwa stanowią jednę część świata); rozmaitość ta wynikła zapewne z tego powodu, że tutaj już wreszcie musiało się zbudzić życie historyczne. Ale i tutaj można dopatrzeć się śladów wspólnego typu dla całych grup różnych szczepów językowych*).

Zdaje się więc, że powstawanie form językowych, t. j. rozwój właściwych językowi organów, zależy od pewnych stałych warunków. Mamy powód do mniemania, że w krainach sąsiednich i jednakowych co do swéj przyrody powstawały podobne lecz jedne od drugich niezależne języki, gdy tymczasem w innych punktach ziemi rozwinęły się inne typy językowe. Podobne wnioski, któreśmy wyciągnęli z badania języków, mające znaczenie dla jednego z perjodów historji rozwoju ludzkości, powinny zwrócić na siebie uwagę dzisiejszych naturalistów nawet w tym razie, gdyby nie przyznawano językowi i jego materjalnéj podstawie, kryjącéj się w ustroju ciała ludzkiego, téj ogromnéj ważności, jaką my językowi przypisujemy.

*) Porównaj: „August Schleicher, die Darwinsche Theorie und die Sprachwissenschaft." Weimar 1863, str. 24 i nast.

Na zakończenie tego szkicu wspomnimy jeszcze, że początek i rozwój języka miały miejsce w czasach przedhistorycznych. To, co rozumiemy pod historją lub życiem historyczném, stanowi małą tylko cząstkę tego przeciągu czasu, jaki już przeżył człowiek, jako człowiek w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu. W czasach przedhistorycznych dźwięki i formy języków starzeją się i dla tego też języki, któremi dziś mówimy, w ogóle jak i języki narodów, mających ważniejsze znaczenie w historji, przedstawiają nam stare okazy językowe. Języki wszystkich historycznych ludów, o ile te są nam znane, a więc i ich cielesne organa znane już od dawna podlegają w większym lub mniejszym stopniu wstecznéj metamorfozie — życie historyczne luzuje formację języka.

Po tém wszystkiém, cośmy o języku powiedzieli, możemy podzielić dotychczasowe życie rodzaju ludzkiego na 3 wielkie perjody, które powoli i nie wszędzie równocześnie się luzowały. Perjody te są następujące:

I. Perjod rozwoju cielesnego organizmu człowieka w najogólniejszych rysach. Perjod ten obejmuje nierównie dłuższy przeciąg czasu niż następny; dla krótkości uważamy go tutaj za jeden perjod.

II. Perjod rozwoju języka.

III. Perjod historycznego życia człowieka; na początku tego perjodu my właśnie żyjemy. Zdaje się, że niektóre narody nie zaczęły go jeszcze.

Widzimy, że niektóre narody jak n. p. Indjanie północnéj Ameryki nie są zdolne do życia historycznego już z tego jedynie powodu, że ich języki są nadzwyczaj zagmatwane, rozpadając się przytém na niezliczoną liczbę form językowych; z téj to przyczyny plemiona te cofają się w swym rozwoju a nawet giną. Bardzo jest więc prawdopodobném, że nie wszystkie organizmy, które dążyły w swym rozwoju do osiągnięcia stopnia rozwoju człowieka, zaczęły perjod rozwoju języka. Część organizmów zatrzymała się na drodze rozwoju, nie doszła do drugiego perjodu, lecz cofnęła się w tył i, jak wszystkie podobne skarłowaciałe organizmy, uległa zagładzie. Resztki tych skarłowaciałych, niemych istót, które nie zdołały osiągnąć stopnia rozwoju człowieka, widzimy w antropoidach.

Wzmianką o tych ulubieńcach badań dzisiejszych naturalistów niech mi wolno będzie zakończyć ten pobieżny szkic o znaczeniu języka dla historji naturalnéj człowieka.

Wystawa wiedeńska.

V.

Do najwspanialszych i najokazalszych gmachów na wystawie wiedeńskiéj należy bezwątpienia pawilon sztuk pięknych. Do wielkiéj sali, zwanéj honorową, przeznaczonéj na pomieszczenie najcelniejszych obrazów, bez względu na narodowość artystów, prowadzą dwa główne wejścia. Zewnętrzna ściana téj olbrzymiéj sali tworzy front środkowy gmachu, ujęty w formę bramy tryumfalnéj; u szczytu umieszczono grupę z kamienia, przedstawiającą malarstwo, rzeźbę i architekturę; z jednéj strony wschodów prowadzących do wnętrza stoi odlew spiżowy, przedstawiający tygrysa walczącego z krokodylem, po drugiéj potrząsa dumnie grzywą lew, na ścianie zaś, w pośrodku bram wchodowych, odbija na tle złotem olbrzymi obraz bogini mądrości — Minerwy. Nim wejdziemy do środka, gdzie będziem zmuszeni nieco dłużéj się zatrzymać, zwracamy mimowoli naszą uwagę na prześliczny posąg marmurowy, ustawiony na dziedzińcu zewnętrznym przed frontem pawilonu. Posąg ten dłuta rzeźbiarza francuzkiego Karola Artura Bourgeois, przedstawia kapłankę Pythią i to w chwili, gdy siedząc na delfickim trójnogu otwiera usta, aby wyrzucić z siebie jakąś złowrogą przepowiednię. Mówimy złowrogą, bo wyraz twarzy delfickiéj kapłanki tak gniewny, oczy jéj takiemi strzelają piorunami, a prawa ręka tak jakoś groźnie podnosi się ku niebu, że spoglądający na posąg ten nie może pomyślnego spodziewać się proroctwa. U spodu téj wspaniałéj rzeźby wyryto napis: Francja. Mali napis ten tłómaczyć znaczenie posągu lub oznaczać tylko miejsce jego urodzin? — nie wiemy.

Z głównéj sali środkowéj prowadzą cztery wejścia do bocznych skrzydeł pawilonu, w których umieszczono dzieła sztuki będące własnością Austrji, Węgier, Fran-

cji, Belgji, Szwajcarji i Niemiec; postępując zaś w przeciwnym kierunku od drzwi wchodowych, znajdujemy się na obszernym dziedzińcu zamkniętym z dwóch boków dwoma osobnemi budynkami, przeznaczonemi dla Włoch, Rosji, Szwecji, Norwegji, Danji, Grecji, a łączącym się z głównym pawilonem sztuk odkrytemi od strony wewnętrznéj kurytarzami, gdzie znalazły dla siebie przytułek odlewy gipsowe.

Zapoznawszy się choć pobieżnie z rozkładem pałacu sztuk pięknych, prowadzimy czytelników do środka, a zwłaszcza do sali honorowéj. Gdy wchodzimy głównemi drzwiami, uderza nas najpierw wielki portret cesarza Franciszka Józefa, pędzla słynnego portrecisty Lenbacha, ucznia Pilotego i portret cesarzowéj Elżbiety, malowany przez Winterhaltera. Jeśli w portretach Lenbacha, których cały szereg wystawiono w oddziale austrjackim, przebija potężny talent artysty, umiejącego genjalnie pogodzić formę z stroną duchową i odgadującego niezrównanie tajemnicę duszy ludzkiéj, mało troszcząc się przytém o akcesorja, to portret cesarza austrjackiego, mimo że zawieszony w sali honorowéj, nie łączy w sobie niestety tych warunków, które właśnie składają się na genjalność tego artysty. W portrecie tym Lehnbach gonił widocznie za efektem i dla efektu zaniedbał stronę wyższą, duchową i sprawił, że portret ten mijamy bez wrażenia i uważamy go za nic więcéj, jak za zwykłą w podobnych razach dekorację sali. To samo da się powiedzieć o obrazie przedstawiającym cesarzową.

Jeśli mamy mówić o wrażeniu, to ogromne płótno Karola Pilotego, przedstawiające „Tusneldę w tryumfalnym pochodzie Germanika", w pełni wywięzuje się z swego zadania. Celem objaśnienia obrazu cofnijmy się pamięcią wstecz w te czasy, kiedy powyższa scena odegrała się w murach zaborczéj Romy. Cesarz Augustus postanowił bądź co bądź ujarzmić Germanję i w tym celu wysyłał pod dowództwem przybranego swego syna Tyberjusza niezliczone legjony, które jednakże zwycięzka dłoń Arminjusza, księcia Germanów, wyparła po za Ren i Dunaj. Ale już w kilka lat późniéj ręka skrytobójcy usunęła czujnego Arminjusza, a na wieść tę wpadają Rzymianie, prowadzeni przez Germanika, ponownie do Germanji, która po kilku walnych bitwach potoczyła się bezsilna pod stopy zwycięzcy. Panujący podówczas Tyberjusz postanowił świetny zgotować tryumf powracającemu zwycięzko w mury rodzinne Germanikowi. Tę to właśnie chwilę obrał Piloty za temat swego obrazu.

Po prawéj stronie na ustrojonym w purpurę a kwiatami uwieńczonym tronie zasiadł otoczony dworem i dostojnemi niewiastami cesarz Tyberjusz. Twarz imperatora posępna, a z oczów tryska zawiść ukryta — żal mu widocznie, że na wozie tryumfalnym, poprzedzonym długim szeregiem jeńców, nie zasiada sam lecz Germanik, ów Germanik, którego równie nienawidzi jak go potrzebuje. W téj chwili mija imperatora orszak złożony z najprzedniejszych osób podbitéj Germanji. Na czele postępuje Tusnelda wraz z kilku innemi niewiastami. Tu skoncentrował mistrz swój artyzm, tu równie koncentruje się nasza uwaga. Postać bohaterki jaśnieje wdziękiem i majestatem; wspaniałe szaty książęce spływają jéj z ramion ku ziemi, na licach jéj bladych spoczął wyraz pogardy dla brutalnych zwycięzców, w oczach tkwi rezygnacja bohaterów upadłych pod przemocą. Na wyniosłą postać bohaterki nie wolno mimo to nikomu spojrzeć bez podziwienia i poszanowania, tyle uroku, tyle potęgi w téj postaci skutéj pętami niewolniczemi. Przy boku kroczy mały jéj synek Tumelik. Ten jeszcze na szczęście nie pojmuje całego ogromu klęski tłoczącéj jego matkę; on jeszcze nie rozumie co to znaczy utracić ojczyznę, nie wié, co go czeka i jakiemi przyjdzie kroczyć mu kolejami; on spokojny i na twarzyczce jedynie maluje się z powodu niezwykłego panorama ciekawość bojaźliwa, która każe mu chwycić się jedną rączką łańcucha krępującego matkę nieszczęsną. Ślicznem jest grono dziewic ze związanemi rękami, kroczących tuż za Tusneldą; śliczną owa rudowłosa kobiéta, rzucająca pogardliwe spojrzenie na wysuniętą z tłumu dziewczynę, która z podniesioną pięścią naigrawa się niewolnicom. Grupę tę zamyka wyniosła postać skrępowanego młodzieńca, który przechodząc obok władzcy potężnego Rzymu, dumnym mierzy go wzrokiem. Cała ta część środkowa obrazu, malowana w oświetleniu słoneczném, niezmiernie odbija od pierwszego planu, pogrążonego nieco w cieniu. Tutaj posuwa się pod strażą żołdactwa rzymskiego grono wojowników germańskich z jarzmem na karkach na znak niewoli i hańby. Tuż żołdak z twarzą pijaną, głupowatym śmiechem, prowadzi w lewéj ręce niedźwiedzia na łańcuchu, a prawą wlecze za brodę zgrzybiałego barda, upadającego pod brzemieniem rozpaczy i boleści. U nóg jego lutnia z starganemi strunami. Z lewéj strony dwaj wieszcze z potłuczonemi lutniami konają na stosie wśród zdobytych trofeów wojennych, nie mogąc przeżyć upadku ojczyzny. A za tém wszystkiém, na ostatnim planie, widać wóz ciągniony przez ogniste rumaki, a na wozie tym stoi dumny tryumfator, pogromca Germanji, z twarzą jednakże tak posępną, jak gdyby przeczuwał, że tryumf to jego ostatni, że za rok podstępnie podana mu czara trucizny usunie go na zawsze z przed oczu zazdrosnego Tyberjusza. Obraz uzupełniają tłumy ludu, godła wojenne, orły cesarskie, pogodne w końcu niebo.

Obraz ten, reprezentujący obok Matejki, o którym późniéj, niemal jedynie na wystawie wiedeńskiéj malarstwo historyczne, co do kompozycji nic prawie nie pozostawia do życzenia, a zręcznem ugrupowaniem i szczęśliwém pokonaniem trudności perspektywy, przeszedł mistrza krakowskiego. Natomiast grzeszy tu i owdzie pewną teatralnością, który to zarzut dotyczy przedewszystkiém pierwszéj grupy wojowników. Obok kolorytu żywego, niezrównanéj techniki, uderza brak wytrwałości w wykończeniu pojedyńczych akcesorjów, a niekiedy i przesada. Malarz n. p. chciał przedstawić jasnowłosą córę Germanji a dał jéj rzeczywiście włosy tak jasne, że, jak się jeden z krytyków wyraża, przypominają siwiznę i p o u d r e d e r i z, a tak długie, tak gęste, że mimowoli pytać się przychodzi, czy w starożytnéj Germanji znano już koki i szyniony. Bądź co bądź jednakże patos tragiczny wiejący z tego płótna wstrząsa do głębi, budzi współczucie i podziwienie, a tém samém odpowiada celowi zakreślonemu sztuce: uszlachetnia serce i podnosi duszę.

Równe wrażenie robi na widzu pomieszczony w téj saméj sali ogromnych rozmiarów obraz R o b e r t a F l e u r e g o, jednego z tych mistrzów, którzy w bohaterskich wysileniach narodu broniącego swych ognisk, zagrożonéj wolności, szukają natchnienia dla swych utworów. Twórca obrazu „Rzezi warszawskiéj r. 1861" wystąpił tym razem z płótnem przedstawiającém „Ostatnie dni Koryntu." Obraz to niezrównanego spokoju, arcydzieło pod względem rysunku i kompozycji, godne zaprawdę honorowego miejsca, jakie mu wyznaczono.

Ostatnie dni Koryntu, to ostatnie wznioślejsze chwile bohaterskiéj dawniéj, a dziś rządami macedońskiemi spodlonéj Grecji. Pod murami Koryntu padły ostatnie zastępy prawych patrjotów, co utworzywszy związek achajski, postanowili rozpaczliwą stoczyć walkę z zaborem rzymskim. Niestety dwie nieszczęśliwe walki zadecydowały o losie Grecji i otworzyły drogę zdobywcom do Koryntu, gdzie na straży pozostali jedynie starcy, kobiéty i dzieci.

Obraz Fleurego przedstawia nam wkroczenia wojsk rzymskich do opustoszałego miasta. Piąty i ostatni to akt strasznéj tragedji.

Zgroza przejmuje widza, gdy śledzi ową śmiertelną

trwogę, jaka zawisła nad nieszczęsném miastem, niema rozpacz ściska serce na widok owéj garstki zwyciężonych, która bezradna, przestrachem rażona, skupiła się około posągu bożka Marsa, błagając go o ratunek. Nadaremnie! Bożek wojny równie zimny, nieczuły, jak ów wódz rzymski Mumius, który w téj chwili właśnie nadciąga na czele zwycięzkich legionów, aby nielitościwą dłonią sięgnąć po ostatek krwi i mienia. Patrząc na te zbrojne zastępy, posuwające się spokojnie, bez obawy znalezienia jakiegokolwiek oporu, posuwające się w kierunku gdzie grono niewiast i starców nadaremnie żebrze miłosierdzia niebios, mimowoli przypomina się Dantejskie: „Tu nie ma nadziei.“ Za chwilę jedna część nieszczęśliwych poginie od miecza rozbestwionego żołdactwa, druga pójdzie w niewolę, aby służyć obcym panom i pod obcém niebem marzyć o zemście. Zwyciężeni nie zdają się łudzić nadziejami. Na twarzach ich rozpacz i zwątpienie, a skargi i jęki odbijają się o posąg spiżowy bezczynnie ostrą dzidę w dłoni dzierżącego Marsa i giną w dali napełnionéj dymem i płomieniem.

Artysta przedstawił tę chwilę niezrównanie, ugrupował po mistrzowsku pojedyńcze postacie a przedewszystkiém na pierwszym planie kilka figur kobiécych niezrównanéj piękności. Tragiczność całéj kompozycji podnosi niemało ów kontrast, jaki zachodzi pomiędzy obecném zniszczeniem a owym zdala rozciągającym się krajobrazem, owianym prawdziwie południowém, pogodném powietrzem, tak jakoś wdzięcznie zapraszającém do życia. Rysunek obrazu grzeszy jednak zbytkiem maniery. Fleury, uczeń Delarochea, widocznie chciał się popisać swém mistrzostwem w rysunku nagiego ciała i poobdzierał, ze szkodą całości, kobiéty z odzienia. Przedstawił nam tym sposobem cudowne, klasyczne kształty, lecz z drugiéj strony porobił z Greczynek, opłakujących stratę ojczyzny, coś w rodzaju bachantek.

W mniéj korzystném miejscu jak powyżéj opisane obrazy, umieszczono płótno naszego rodaka p. Siemieradzkiego, profesora sztuk pięknych w Petersburgu, p. n. „Jawnogrzesznica.“ P. Siemieradzki jest jedynym Polakiem, którego obraz dostąpił zaszczytu znajdowania się w sali honorowéj. Zawiść plemienna i podłe służalstwo w obec mocarza północy wygnały ztąd dzieła Matejki, choć ogół był i jest tego zdania, że jeśli komu, to obrazom Matejki należało się zaszczytne w téj sali miejsce. Ale powróćmy do „Jawnogrzesznicy“, którą, mówiąc nawiasem, jeden z w. k. rosyjskich zakupił na własność za cenę 15 tysięcy rubli.

Przed nami grono wesołych bachantek szalejących w towarzystwie wybladłych rozpustników. Między nimi réj wiodła młoda, pełna urody o hebanowych włosach niewiasta; strój jéj, pełna czara wina w ręku, włos rozpuszczony w nieładzie świadczą, że oddawała się z całym bezwstydem szalonéj zabawie. W téj chwili z drugiéj strony wchodzi Chrystus otoczony uczniami i apostołami. Wzrok jego boski, pełen słodyczy i przebaczenia pada na grzesznicę, która pod urokiem jego poznaje ową przepaść, która ją przed chwilą pochłaniała, widzi, jak nisko upadła, i postanawia widocznie zejść z tak pochyłéj drogi. Na twarz jéj występuje trwożliwie rumieniec wstydu, w oczach czytasz nadzieję poprawy.

W odtworzeniu takiéj sceny artysta ogromne miał trudności do pokonania i wywiązał się z tego zwycięzko. Kompozycja sama prześliczna, koloryt świeży i pełen życia, układ postaci ze wszech miar trafny. Pełne efektu są wschodnie ubrania rzeszy otaczającéj Chrystusa, niemniéj stroje tancerek, w piękne i oryginalne poustawianych grupy. Obok tych zalet obraz ten odznacza się świetnością barw i niezrównaném wykończeniem najdrobniejszych szczegółów. Że „Jawnogrzesznica“ jest ozdobą wystawy, nikt nie zaprzeczy, szkoda tylko, że cudzoziemiec ani się domyśli, iż jest pędzla Polaka. Obraz ten, upstrzony napisami rosyjskiemi, uchodzi za dzieło mistrza rosyjskiego. Niestety setki takich utworów polskiego genjuszu idzie w ten sposób na karb naszych ciemięzców!

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

(W sprawie Orędownika).

— Na wniesione w przeszłym numerze pisma naszego publiczne oskarżenie **Orędownika** odebraliśmy z wielu stron wyrazy uznania a między innemi obszerne pismo jednego z najzasłużeńszych w sprawie publicznéj i ogólnie szanowanego obywatela ze wsi, którego brzmienie podajemy jak następuje:

„W numerze 32 „Tygodnika Wielkopolskiego“ zanosi Sz. Redakcja protest przeciw Kronice miejscowéj skandalicznéj „Orędownika“, zamieszczonéj w Nr. 53 tego moralnie i politycznie podupadłego pisma. Wezwani przez Was do osądzenia tego namiętnego zaślepienia, z wstrętem dotykamy się téj nieczystéj sprawy i z boleścią przychodzi nam objawić na prawdzie oparte słuszne nasze zdanie.

Społeczność nasza w ostatniém stuleciu naszéj niewoli i niedoli, przechodziła rozmaite moralne i polityczne fazy, podnosiła się, to drzymała uśpiona w materjalizmie, ale tak nisko, jak obecnie, nigdy jeszcze nie spadła. Jednym z wielu, twierdzenia tego dowodzących argumentów jest znany paszkwil, który mógł rzucić Dr. Szymański bez obawy odepchnięcia tylko téj społeczności, która go jako narzędzie stronnicze na kandydata do izby pruskiéj aż w sześciu postawiła powiatach, każda inna, wyżéj stojąca, podniosłaby na takie lekceważenie głos oburzenia i pogardy, który zmiażdżyłby go i do dalszego podobnego występowania odebrał odwagę. Okoliczność, że Dr. Szymański zarzuca swym przeciwnikom autorstwo plotkarskich artykułów do „Kraju“ a sam podobną wojuje bronią, że wytacza przed forum publiczne prywatne swe z innymi osobami zajścia i ogłasza publicznie to, co oni w zaufaniu mu zwierzyli, dowodzi jego obłędu, nielogiczności, braku delikatności, ogłady towarzyskiéj i politycznego taktu. I taki człowiek miałby być posłem, reprezentantem ludności polskiéj na sejmie pruskim?!! Któż nam zaręczyć może, że uniesiony egoizmem i fałszywą ambicją podobnie gorszącéj i hańbę nam przynoszącéj w obec przeciwnego obozu ponownie nie wyprawi sceny?!!

„Orędownik“ założony został na akcje przez obywateli ziemskich wspólnie z Dr. Sz. w najuczciwszéj myśli. Głównym jego celem miało być szerzenie oświaty i poznajamianie stanu średniego z sprawami naszemi społecznemi. Podstępem usunięty przez tegoż Sz. z pod nadzoru i wpływu akcjonarjuszy — stał się dzisiaj narzędziem siejącego niezgodę stronnictwa, które mu więcéj zaspokajające jego egoizm przedstawiło szanse. Akcjonarjusze „Orędownika“ na zebraniu w styczniu 1872 r. zarzucili Dr. Sz. odstępstwo od pierwotnie wytkniętego programu i między innymi wypowiedzieli wręcz bez ogródki, iż zawód, jakiego z jego strony doznali,

sprawia na nich to wrażenie, że jemu głównie chodziło o exploatowanie ofiarności obywatelskiéj i wyrobienie sobie stanowiska, a nie o służenie sprawie publicznéj, — a on to połknął i strawił. Akcji, które Dr. Szymański w ilości 700 tal. od akcjonarjuszy odebrał, dotąd jeszcze, pomimo zobowiązania, nie zwrócił i powierzonego sobie do wiernych rąk kapitału nadużywa i w przeciwnym pierwotnemu programowi, a zabójczym w ogóle dla sprawy publicznéj używa kierunku. Zarzuci kto może, iż znowu wchodzimy na sprawy prywatne. Bynajmniéj! dotykamy ich tylko o tyle, o ile one stoją w styczności z życiem publiczném i rzucają światło na charakter pnącego się uporczywie do najwyższych w społeczności naszéj dostojeństw zuchwałego człowieka. Komu potrzeba na orzeczenie nasze dowodów, ten niechaj sięgnie po nie do akcjonarjuszów „Orędownika“ a mianowicie pp. Włodzimierza Wolniewicza, Maxymiljana Jackowskiego, Dr. Józefa Chosłowskiego, Konstantego Dziembowskiego, hr. Mieczysława Kwileckiego, Dr. Władysława Szułdrzyńskiego, Dr. Zygmunta Szułdrzyńskiego, Stanisława Kurnatowskiego, Stanisława Sczanieckiego, hr. Stanisława Czarneckiego, Eustachego Rogalińskiego. I takiego oto męża pozyskała dla swych widoków i na pierwszém stawia miejscu tak zwana partja klerykalna; może ona z większością społeczności różnić się w zasadach, może utrzymywać, że innemi drogami do wspólnego zdąża celu, ale nie powinna pod zagrożeniem najzgubniejszych następstw podobnymi posługiwać się ludźmi, bo zgubi świętą sprawę kościoła...

Jeżeli trzy lata temu, przy ostatnich wyborach stronnictwo narodowe postępując uczciwie, zrobiło w imię zgody ustępstwo tak zwanemu stronnictwu klerykalnemu i cofnęło kandydaturę zasłużonego krajowi i w całéj Polsce wysoko cenionego męża, u którego „trzewika nie godzien rozwiązać rzemyka“ ów świéżo nawrócony kandydat, to oczekiwać należy od stronnictwa, którego godłem powinna być zgoda i miłość, tyle przynajmniéj szlachetności i rozumu, że się w swéj zaciekłości opamięta, że rozpatrzy się rozważnie w usposobieniu społeczności i usunięciem nieszczęsnéj kandydatury zażegna burzę, która zaczyna się zbierać nad jego głowami.

Na teraz kończymy i odzywamy się do pism naszych polskich, aby głos ten znalazł w nich odbicie i rozległ się po całym kraju, bo biada wam! biada nam! stokroć biada całéj ludzkości, jeżeliby korupcja moralna zakraść się miała do dusz ludzi stojących na straży bezpieczeństwa naszego kościoła, którzy pod osłoną jego powagi wichrząc i siejąc złe ziarno, zapewniliby intrydze panowanie nad cnotą.“

* * *

— Na poparcie powyżéj ogłoszonego listu w sprawie oskarżonego przez nas **Orędownika** — na dowód iż założyciele i akcjonarjusze tego pisma warcholącego tak niegodnie pośród naszego społeczeństwa, dawniéj już potępiali wsteczny, socjalistyczno-klerykalny jego kierunek, podajemy tu pismo, jakie w imieniu akcjonarjuszy pan Maxymiljan Jackowski wystósował do redaktora pana Szymańskiego w dniu 20 grudnia 1872 r.

Pismo to brzmi jak następuje:

Wny Dr. Szymański, redaktor Orędownika w Poznaniu.

„Zebrani na posiedzeniu dn. 11 b. m. Akcjonarjusze Orędownika w Poznaniu zgodzili się wszyscy na to: że Orędownik nie jest prowadzony podług programu, jaki mu został pierwotnie przez redakcją zakreślony, a przez Akcjonarjuszów przyjęty; zgodni byli także i w tym jeszcze punkcie: że redakcja Orędownika postawiła sobie od pewnego czasu za zadanie sianie niechęci i nieufności w warstwach mniéj możnych ku warstwom więcéj możnym. Tak szkodliwemu kierunkowi, a zmierzającemu wprost do rozbicia jedności i wspólnéj pracy, nie mogąc Akcjonarjusze obojętnie dłużéj się przypatrywać, upoważnili mnie, abym Panu oznajmił: że jakkolwiek oni swym kapitałem dali materjalną podstawę wydawnictwu Orędownika i są rzeczywistymi tegoż założycielami, to w obecnym jednak stanie rzeczy,

gdy Pan nadużywszy ich dobréj wiary i zaufania jakiém Go obdarzyli, uzurpowałeś to wydawnictwo jedynie dla wyrobienia sobie samodzielnego stanowiska, a więc wyłącznie dla osobistego własnego interesu, który wyżéj sprawy publicznéj stawiłeś;

gdy daléj przyjętych — za wspólném stron obu porozumieniem — moralnych zobowiązań względem Akcjonarjuszów nie dotrzymałeś i własnemu co do pisma samego przeniewierzyłeś się programowi, widzą się ostatecznie tak zmiennném postępowaniem Pana zmuszonymi:

do wyrzeczenia się wszelklego, tak moralnego jak i materjalnego z Nim co do Orędownika wspólnictwa i żądają od Niego wypłaty akcji.

Na postanowienie to zgodzili się panowie; 1) W. Wolniewicz; 2) K. Dziembowski; 3) J. Dr. Chosłowski; 4) St. Kurnatowski; 5) W. Dr. Szułdrzyński; 6) Z. Dr. Szułdrzyński; 7) M. hr. Kwilecki; 8) S. hr. Czarnecki; 9) A. Grewe; 10) M. Jackowski.

Odwołując się na rewers Pana z dn. 26 Marca b. r. wzywam Go i proszę, aby rzekome 11 akcji (M. hrabia Kwilecki ma 2 akcje) w ilości 559 tal. od dnia dzisiejszego za 1 miesiąc t. j. dn. 20 stycznia 1873 r. na moje ręce wypłacił.“

Pomarzanowice dn. 20 grudnia 1872.

Skrzynka do listów.

— P. W. K.: Wiadome nazwisko nie stanowi wyjątku — korespondenci i dzienniki popełniają pospolity błąd.

— P. J. w Juvissy: Uprzedzono Pana z nadesłaniem Zagadki. Milczenie nasze nie jest oznaką obojętnosci, lecz pochodzi z braku czasu. Prosimy zastósować dla nas życzliwość tak dla nas zaszczytną.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.